

LUCY MAUD MONTGOMERY

**WYMARZONY
DOM
ANNE**

PRZEŁOŻYŁA ANNA BAŃKOWSKA

MARGINESY

Anne's House of Dreams

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Oddając Czytelniczkom i Czytelnikom nowy przekład kolejnego tomu kultowego cyklu powieści o Anne, jestem świadoma „zdrady”, jaką popełniam wobec pokolenia ich matek i babć, do których zresztą zaliczam też siebie. Tak jest – razem z wydawcą doszliśmy do wniosku, że w czasach, kiedy wszystkie dzieci wiedzą, że żadna Kanadyjka nie ma na imię Ania, Janka czy Zosia, a żaden Kanadyjczyk nie nazywa się Mateusz czy Karolek, pora przywrócić wszystkim, a nie tylko wybranym (jak w poprzednich przekładach), bohaterkom i bohaterom książki ich prawdziwe imiona, a nazwom geograficznym na Wyspie Księcia Edwarda ich oryginalne brzmienie (ofiara tej zasady padła też w tej części nazwa Przystań Czterech Wiatrów, co odnotowuję nie bez pewnego żalu). W tym tomie Anne jest już zresztą dorosłą kobietą i zdrabnianie jej imienia wydaje mi się po prostu niewłaściwe i nienaturalne.

Podjmując się kolejnego przekładu (a w ostatnich latach nastąpił prawdziwy ich wysyp), postawiłam sobie za cel jak najściślejszą wierność wobec oryginału i realiów życia na Wyspie Księcia Edwarda. Odwiedziłam w tym celu liczne fora internetowe, blogi i grupy na Facebooku poświę-

cone życiu i twórczości Lucy Maud Montgomery. Należą do nich osoby, które doskonale znają wszystkie jej książki, także w oryginale, i od lat analizują nowe przekłady, bezlitośnie demaskując nawet najmniejsze błędy i nieścisłości. Każda z tych osób ma swoje zdanie na przykład w kwestii tłumaczenia nazwy Green Gables, od ponad stu lat znanej w Polsce jako Zielone Wzgórze. W sieci dostępne są zdjęcia z Wyspy Księcia Edwarda, można więc sobie obejrzeć, jak wyglądają słynne „czerwone drogi” czy odtworzona na podstawie opisu w książce i korespondencji autorki farma rodzeństwa Cuthbertów. Dzięki uprzejmości Bernadety Milewskiej (autorki bloga „Kierunek Avonlea”), która nie tylko jest kopalnią wiedzy o LMM, zna na wrywki wszystkie jej książki i tropi w nich z dociekliwością detektywa wątki autobiograficzne, ale też co roku spędza na Wyspie Księcia Edwarda kilka miesięcy i współpracuje z L.M. Montgomery Literary Society, mogłam dowiedzieć się, jak istotne dla autorki było słowo *gable*. Nazwa ta już od pierwszego przekładu sprawiała tłumaczom kłopoty. *Gable* po angielsku to termin architektoniczny, oznaczający trójkątną ścianę łączącą dwie części dwuspadowego dachu. Po polsku jest to „szczyt”. Niestety słowo „szczyt” Polakom kojarzy się głównie z górami, dlatego już pierwsza tłumaczka zmieniła oryginalne Green Gables na Zielone Wzgórze, które tak wryło się w pamięć kolejnych pokoleń, że aż do tej pory nikt nie odważył się zbadać, czy tam w ogóle było jakieś wzgórze. Otóż nie było. Ale to nie dlatego zdecydowałam się zrobić wyłom w tradycji i nazwać ten dom Zielone Szczyty. Zrobiłam to po tym, jak przyjrzałam się na zdjęciach tamtejszemu budownictwu, w którym właśnie te

szczyty najbardziej rzucają się w oczy. Niektóre domy mają ich po kilka. Istnieje książka Nathaniela Hawthorne'a pod tytułem *The House of the Seven Gables* [Dom o siedmiu szczytach], którą L.M. Montgomery czytała w roku 1903. Swoją pokój w domu dziadków Macneillów, u których się wychowała, nazywała zawsze *gable room* – i tę nazwę (*east gable room*) nadała pokoikowi Anne. Było to dla niej niemal magiczne miejsce, o którym napisała nawet kilka wierszy. W tym tomie nazwa Zielone Szczyty pojawia się tylko sporadycznie, ponieważ Anne już tam nie mieszka.

| 7

Fikcyjna nazwa Four Winds obejmuje prawdopodobnie całą tę część wybrzeża. W jej skład wchodzi liczne słabo zaludnione siedliska, takie jak Four Winds Harbour (gdzie zamieszkali Blythe'owie), Harbour Head i wioska rybacka niewymieniona z nazwy, a także całe Glen St. Mary.

Za absolutnie bezcenne informacje serdecznie dziękuję Bernadecie Milewski, autorce bloga „Kierunek Avonlea”, oraz panu Stanisławowi Kucharzykowi, który od lat bada florę Wyspy Księcia Edwarda, a swoją wiedzę dzieli się na blogu „Zielnik L.M. Montgomery”. To on jest autorem nieoficjalnej (bo oficjalnej brak) polskiej nazwy *mayflowers* (majowniki), ulubionych kwiatów LMM (*Epigaea repens*), o których autorka często wspomina w swoich książkach.

Anna Bańkowska

Laurze, na pamiątkę dawnych czasów

*Nasi bliscy
Pobudowali im świątynie,
a w nich
Modlą się do znanych nam bogów;
i mieszkają
W małych uroczych domkach.*

Rupert Brooke, *The Song of the Pilgrims*
[Pieśń pielgrzymów]

– CO ZA SZCZĘŚCIE, że już koniec z geometrią! – westchnęła z mściwą satysfakcją Anne Shirley, wrzucając do wielkiego kufra z książkami wysłużone dzieło Euklidesa.

| 13

Zatrzasnąwszy triumfalnie wieko, usiadła na nim i spojrzała szarymi jak niebo o brzasku oczami na Dianę Wright, która przyglądała się jej z drugiego końca strychu.

Strych był mrocznym, tajemniczym i rozkosznym miejscem, takim jak wszystkie strychy być powinny. Przez otwarte okno, przy którym siedziała Anne, wpadało ciepłe, aromatyczne powietrze sierpniowego popołudnia; za oknem szeleściły targane wiatrem gałęzie topoli. Dalej ciągnęły się lasy z magiczną Aleją Zakochanych oraz stary jabłoniowy sad, gdzie obficie dojrzewały już różowe owoce, a nad tym wszystkim, na tle błękitnego nieba, kłębił się wał śnieżnobiałych obłoków. Za drugim oknem przeblyskiwały w oddali zwieńczone bielą fale Zatoki Świętego Wawrzyńca, na której niczym klejnot unosiła się Abegweit. Ta łagodniejsza, śliczna indiańska nazwa* już dawno odeszła

* Nazwa ta w języku Mikmaków, rdzennych mieszkańców, znaczyła „ziemia kołysząca się na falach” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

w zapomnienie, zastąpiona bardziej prozaiczną – Wyspa Księcia Edwarda.

14 | Diana Wright, z którą ostatnio widzieliśmy się trzy lata wcześniej, zdążyła w tym czasie upodobnić się nieco do statecznej matrony, ale jej czarne oczy pozostały równie błyszczące, policzki równie różowe, a dołeczki równie czarujące jak za dawnych lat, kiedy to z Anne Shirley w ogrodzie Sadowej Górki przysięgały sobie wieczną przyjaźń. W ramionach trzymała uśpione stworzonko z czarnymi loczkami, które mieszkańcy Avonlea od dwóch lat znali jako małą Anne Cordelię. Dlaczego Anne – oczywiście wiadomo, natomiast wszystkich intrygowała owa Cordelia, gdyż ani w rodzinie Wrightów, ani w rodzinie Barrych jako żywo nigdy nie było nikogo o tym imieniu. Pani Harmonowa Andrews rozповідаła, że Diana musiała je znaleźć w którymś z powieściodeł, i dziwowała się, dlaczego Fred nie miał dość rozumu, by do tego nie dopuścić. Ale Diana i Anne tylko się do siebie uśmiechały. Obie dobrze wiedziały, skąd wzięło się drugie imię małej Anne Cordelii.

– Ty zawsze nienawidziłaś geometrii – przypomniała jej Diana z uśmiechem. – I chyba cieszysz się, że wreszcie kończysz z nauczaniem.

– Ach, ja przecież zawsze lubiałam uczyć! Wszystkiego oprócz geometrii. Te trzy lata w Summerside były naprawdę przyjemne. Pani Harmonowa uprzedziła mnie, kiedy już wróciłam, żebym się nie spodziewała po życiu małżeńskim czegoś lepszego niż po nauczaniu. Najwyraźniej uważa, podobnie jak Hamlet, że lepiej „znosić zło znane, niż rzucać się w nowe”^{*}.

^{*} William Szekspir, *Hamlet*, akt III, sc. 1, przeł. Stanisław Barańczak.

Śmiech Anne, tak samo beztroski i urzekający jak niegdyś, ale bogatszy o nutę słodyczy i dojrzałości, wypełnił cały strych. Marilla, która w kuchni na dole smażyła konfitury ze śliwek, aż się rozpromieniła, ale zaraz westchnęła, przypomniawszy sobie, jak rzadko w Zielonych Szczytach będzie teraz rozbrzmiewał ten miły dźwięk. W całym życiu nic nie uszczęśliwiło jej tak, jak wiadomość o spodziewanym ślubie Anne z Gilbertem Blythe'em, a jednak się okazało, że na każdą radość musi nałożyć się leciutki cień smutku. Przez ostatnie trzy lata Anne często przyjeżdżała do domu na wakacje i weekendy, podczas gdy w najbliższej przyszłości będzie to możliwe najwyżej dwa razy w roku.

| 15

– Nie możesz martwić się gadaniem pani Harmonowej – przekonywała przyjaciółkę Diana ze spokojną pewnością czteroletniej małżonki. – Życie małżeńskie ma oczywiście swoje blaski i cienie, więc nie spodziewaj się, że wszystko zawsze będzie usłane różami. Ale zapewniam cię, że jeśli wychodzi się za właściwego człowieka, to można się czuć szczęśliwą.

Anne powstrzymała się od uśmiechu. Te pozy „doświadczonej matrony”, które czasem przybierała Diana, zawsze ją trochę bawiły.

„Pewnie po czterech latach małżeństwa też będę się tak wymądrzać – myślała. – Chociaż może ustrzeże mnie przed tym moje poczucie humoru”.

– Czy już ustaliliście, gdzie zamieszkacie? – spytała Diana, przytulając córeczkę typowym dla matek, niepowtarzalnym gestem.

Na ten widok serce Anne zawsze przeszywał przyjemny, acz dziwnie bolesny dreszcz, który napełniał je słodyczą, niewypowiedzianymi marzeniami i nadziejami.

- Tak. To właśnie chciałam ci powiedzieć, kiedy przez telefon prosiłam, żebyś tu dziś przyszła. Nawiasem mówiąc, w głowie mi się nie mieści, że już mamy w Avonlea telefony. To się wydaje tak absurdalnie nowoczesne jak na tę starą, poczciwą wioskę!

16 | - Możemy za to dziękować Kołu Entuzjastów Avonlea. Gdyby nie wzięli sprawy w swoje ręce, nigdy byśmy się nie doczekali dociągnięcia linii. Wylano na nich tyle kubłów zimnej wody, że każde inne stowarzyszenie dawno by się zniechęciło, a oni jednak wytrwali. Tak bardzo przysłużyliście się Avonlea, zakładając to Koło! A jak świetnie bawiliśmy się na zebraniach! Czy da się zapomnieć o pomalowanej na niebiesko świetlicy albo o udaremnionym pomysłe Judsona Parkera, żeby obwiesić płot reklamami lekarstw?

- Wcale nie wiem, czy tak bardzo jestem wdzięczna KEA za te telefony. Owszem, są wygodniejsze niż nasz dawny system sygnalizacji za pomocą świecy. I jak mówi pani Rachel: „Avonlea musi iść z postępem, ot co!”. Ale mimo wszystko nie chcę, żeby nasza wioska została skażona tymi „nowoczesnymi niewygodami”, jak powiada pan Harrison, kiedy chce być dowcipny. Wolałabym, żeby wciąż wszystko było jak za starych, dobrych czasów. To głupie, sentymentalne i niemożliwe, toteż natychmiast stanę się rozsądna, praktyczna i ustępliwa. Telefon, jak przyznaje pan Harrison, to „dobry wynalazek”, nawet jeśli wiesz, że prawdopodobnie pół tuzina ciekawskich słucha twojej rozmowy.

- To właśnie jest najgorsze - westchnęła Diana. - Ten trzask podnoszonych słuchawek, kiedy do kogoś dzwonisz!

Podobno pani Harmonowa Andrews uparła się, żeby założyć jej aparat w kuchni, tak aby mogła podsłuchiwać rozmowy, a jednocześnie mieć oko na garnki. Dzisiaj, kiedy do mnie dzwoniłaś, wyraźnie słyszałam bicie tego dziwnego zegara Pyeów, więc z pewnością słuchała nas Josie albo Gertie.

– Ach, to dlatego zapytałaś, czy mamy w Zielonych Szczytach nowy zegar! Nie rozumiałam, o co ci chodzi, ale rzeczywiście usłyszałam potem ten charakterystyczny trzask. Na pewno ktoś u Pyeów odwieszał ze złością słuchawkę. Ale to nieważne. Jak mówi pani Rachel: „Pye’owie zawsze byli i pozostaną Pye’ami na wieki wieków, amen”. Pomówmy o czymś przyjemniejszym, na przykład o moim przyszyłym domu.

– Och, Anne, i gdzie on będzie? Oby gdzieś niedaleko!

– No niestety nie, to jest ten minus. Gilbert chce osiąść w Four Winds Harbour, sześćdziesiąt mil stąd.

– Sześćdziesiąt! Równie dobrze mogłoby być sześćset – westchnęła Diana.

– Musisz koniecznie tam przyjechać. To najpiękniejsza zatoka na Wyspie. Jest tam na cyplu wioska o nazwie Glen St. Mary, gdzie od pięćdziesięciu lat praktykuje doktor David Blythe, stryjeczny dziadek Gilberta. Teraz wybiera się na emeryturę, a jego miejsce ma zająć Gilbert. Doktor Blythe chce jednak zatrzymać swój dom, więc będziemy musieli poszukać jakiegoś miejsca dla siebie. Nie wiem jeszcze, jak będzie wyglądało i gdzie je znajdziemy, ale w wyobraźni mam już ten mój wymarzony domek całkowicie urządzone: taki malutki, uroczy zameczek ze snu.

– A dokąd pojedziecie w podróż poślubną?

- Donikąd. Nie rób takiej zgorszonej miny, kochana, bo wyglądasz jak pani Harmonowa Andrews. Ona bez wątplenia raczej zauważył, że jak kogo nie stać na „poślubną turę”, to rozsądnie zrobi, jeśli będzie siedział na miejscu. A potem nie omieszkła wspomnieć, że Jane na swoją wyjechała do Europy. Ja zaś chcę spędzić miodowy miesiąc w Four Winds, w moim kochanym, wymarzonej domku.

- I postanowiłaś nie mieć drухen?

18 | - Tak, bo nie widzę nikogo, kto by się nadawał. Ty, Phil, Priscilla i Jane wyprzedziłyście mnie na ślubnym kobiercu, a Stella pracuje w Vancouver. Poza wami nie mam żadnych pokrewnych dusz, a nie chcę drухny, która nią nie jest.

- Ale welon chyba będziesz miała? - zaniepokoiła się Diana.

- O tak, inaczej nie czułabym się jak panna młoda. Pamiętam, jak powiedziałam Matthew tego dnia, kiedy przywiozł mnie do Zielonych Szczytów, że pewnie nigdy nią nie zostanę, bo kto by zechciał poślubić kogoś tak brzydkiego, chyba że jakiś zagraniczny misjonarz. Pomyślałam sobie, że zagraniczni misjonarze nie mogą sobie pozwolić na wybrzydzenie w kwestii urody, skoro chcą narażać dziewczynę na życie wśród ludożerców. A tymczasem... Szkoda, że nie widziałas tego misjonarza, za którego wyszła Priscilla! Jest tak przystojny i nieprzenikniony jak ci wszyscy bohaterowie naszych dawnych marzeń, a poza tym ubiera się najlepiej ze wszystkich znanych mi mężczyzn i zachwyca go „eteryczna, złocista” uroda Priscilli. Ale oczywiście w Japonii nie ma kanibali.

- Twoja suknia ślubna to istne marzenie - westchnęła Diana z zachwytem. - Wyglądasz w niej jak królowa, taka

wysoka i smukła... Jak ci się udaje zachować szczupłą figurę? Ja jestem już taka gruba, że niedługo w ogóle nie będę miała talii.

– Tusza i szczupłość to chyba kwestia przeznaczenia. W każdym razie nie usłyszysz od pani Harmonowej tego, co mi powiedziała, kiedy wróciłam z Summerside: „No cóż, Anne, jesteś tak samo koścista jak zawsze”. „Smukła” brzmi całkiem romantycznie, ale „koścista” to zupełnie co innego.

– Pani Harmonowa opowiada o twojej wyprawie. Przyznaje, że jest tak ładna jak jej córki, chociaż Jane poślubiła milionera, a ty wychodzisz tylko za „biednego młodego lekarza bez centa przy duszy”.

Anne się zaśmiała.

– Moje suknie rzeczywiście są śliczne. Lubię ładne rzeczy. Pamiętam swoją pierwszą wyjściową sukienkę w życiu, z brązowej wełny z jedwabiem, którą Matthew podarował mi na szkolny koncert. Przedtem wszystko, co miałam, było strasznie brzydkie. W tamten wieczór wydało mi się, że wkroczyłam do nowego świata.

– Gilbert recytował wtedy *Bingen nad Renem** i przy słowach „Jest tam też inna dziewczyna, nie siostra” patrzył prosto na ciebie**. A ty się wściekłaś, bo włożył sobie do kieszonki bibułkową różę, która wypadła ci z włosów. Nie wyobrażałaś sobie nawet, że kiedyś za niego wyjdiesz.

* Wiersz Caroline E.S. Norton *Bingen on the Rhine*.

** Dianę zawodzi pamięć. Gilbert recytował ten wiersz na innym koncercie, który odbył się, zanim Anne dostała brązową sukienkę (zob. Lucy Maud Montgomery, *Anne z Zielonych Szczytów*, przeł. Anna Bańkowska).

- No dobrze, to kolejny dowód na to, że naszym życiem rządzi przeznaczenie - przyznała Anne ze śmiechem, kiedy schodziły na dół.

W CAŁEJ HISTORII Zielonych Szczytów nie widziano tam takiego ożywienia. Nawet Marilla nie kryła ekscytacji, co samo w sobie było zjawiskiem godnym odnotowania.

| 21

– W tym domu jeszcze nigdy nie odbył się żaden ślub – tłumaczyła się ze swego stanu pani Lynde. – Pamiętam z czasów dzieciństwa, jak pewien stary pastor twierdził, że dom nie jest prawdziwym domem, dopóki nie uświęcą go narodziny, zaślubiny i śmierć. Śmierci już doświadczyliśmy, bo umarli tu moi rodzice i Matthew, narodzin także: dawno temu, zaraz po tym, jak wprowadziliśmy się tutaj, żona naszego parobka wydała na świat dziecko. Ale ślubu jeszcze nie było. Tak mi dziwnie, gdy pomyślę, że Anne wychodzi za mąż! Dla mnie w jakiś sposób nadal jest tą dziewczynką, którą Matthew przywiózł do nas czternaście lat temu. Nie potrafię pojąć, że stała się dorosła. I nigdy nie zapomnę, co czułam, kiedy zobaczyłam, że Matthew zamiast chłopca przywiózł dziewczynkę. Ciekawe, co stało się z tym wyczekiwany przez nas chłopcem. Jaki los go spotkał?

– Cóż, to była naprawdę szczęśliwa pomyłka – orzekła pani Rachel Lynde. – Chociaż, nawiasem mówiąc, nie zawsze tak uważałam... Na przykład kiedy przyszłam poznać

Anne, a ona urządziła mi tę straszną scenę. Ale od tego czasu wiele się zmieniło.

Pani Rachel westchnęła, ale zaraz znowu się ożywiła. Wobec takich wydarzeń jak śluby gotowa była pogrzebać dawne spory.

– Zamierzam dać Anne dwie z moich bawełnianych narzut. Tę w tabaczkowe pasy i tę w listki jabłoni. Podobno ostatnio znów stają się modne. Cóż, modne czy nie, nie wierzę, że jest coś ładniejszego na łóżko w gościnnym pokoju niż taka narzuta w listki. Muszę się zająć ich odświeżeniem, bo zaraz po śmierci Thomasa zaszyłam je w płóciennych workach i na pewno od tego czasu straciły kolor. Ale mamy jeszcze miesiąc, a bielenie na rosie czyni cuda.

22 |

Tylko miesiąc! Marilla westchnęła, po czym oświadczyła z dumą:

– Ja jej dam pół tuzina tych plecionych dywaników, które trzymam na strychu. Nigdy nie przypuszczałam, że zechce je mieć, są takie staroświeckie! Teraz każdy uznaje tylko pętelkowe maty, ale Anne sama mnie o nie poprosiła. Powiedziała, że woli je od innych, zresztą naprawdę są ładne. Uplotłam je z samych najładniejszych gałganków, przynajmniej miałam co robić w ciągu kilku ostatnich zim. I nasmażę jej tyle konfitur śliwkowych, żeby starczyło na cały rok. To dziwne, bo te ciemne śliwy od trzech lat nawet nie zakwitły i już myślałam, żeby je wyciąć. A tej wiosny całe okryły się bielą. Nie pamiętam, kiedy mieliśmy w Zielonych Szczytach taki zbiór.

– Cóż, chwala Panu, że Anne i Gilbert wreszcie się pobiorą. Zawsze się o to modliłam. – W tonie pani Rachel dźwięczała głęboka pewność, że to właśnie jej modlitwom

należy zawdzięczać pomyślny obrót spraw. – Kiedy usłyszałam, że jednak nie zdecydowała się na tego młodzieńca z Kingsport, po prostu kamień spadł mi z serca. Owszem, jest bogaty, a Gilbert biedny... przynajmniej na razie, ale pochodzi z naszej Wyspy.

– I jest Gilbertem Blythéem – dodała z satysfakcją Marilla, która prędeziej by umarła, niż ubrała w słowa myśl, która zawsze czaiła się jej z tyłu głowy, ilekroć patrzyła na tego chłopca: że gdyby nie jej zapiekła duma, mógłby to być jej własny syn. Czuła teraz, że w jakiś tajemniczy sposób Anne przez swoje małżeństwo naprawia jej błąd sprzed lat, a z tamtego złego uporu rodzi się jakieś dobro.

Co do samej Anne, to czuła się tak szczęśliwa, że aż ją to przerażało. Zgodnie ze starym przesądem bogowie nie przepadają za zbyt szczęśliwymi śmiertelnikami, a już na pewno nie lubią ich pewne ludzkie istoty. I właśnie w pewien liliowy wieczór dwie z nich odwiedziły Anne tylko po to, aby przekłuć tęczową bańkę jej dobrego samopoczucia. Jeśli myśli, że skoro usidliła młodego doktora Blythe'a, to wygrała jakiś szczególny los na loterii, albo jeśli wyobraża sobie, że Gilbert nadal jest w nią tak samo zapatrzony jak za swych „dni zielonych”^{*}, to ich obowiązkiem jest przedstawić sprawy we właściwym świetle. A jednak obie te zacne panie nie należały do wrogów Anne, przeciwnie, naprawdę ją lubiły i zapewne broniłyby jej jak własnych młodych, gdyby ktoś inny ją zaatakował. Ludzka natura niekoniecznie musi być konsekwentna.

* Zob. William Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, akt I, sc. 5, przeł. Władysław Tarnawski.

Pani Inglis – *née* Jane Andrews, że zacytujemy „Dziennik Przedsiębiorcy” – przybyła w towarzystwie swojej matki oraz pani Jasperowej Bell. U Jane jednak, w przeciwieństwie do obu starszych pań, lata małżeńskich utarczek nie naruszyły nic z wrodzonej życzliwości dla ludzi. „Sznur mierniczy wyznaczył jej dział wspaniały”*. Pomimo że wyszła za milionera – jak by powiedziała pani Lynde – małżeństwo Jane okazało się szczęśliwe, a bogactwo jej nie zepsuło. Nadal pozostała tą pogodną, zrównoważoną dziewczyną o różowych policzkach, szczerze cieszyła się szczęściem dawnej przyjaciółki i żywo interesowała się szczegółami jej wyprawy, chociaż ta nie mogła się równać z jej własnymi jedwabiami i klejnotami. Jane nie była specjalnie błyskotliwa i prawdopodobnie nigdy w życiu nie powiedziała nic godnego uwagi, ale też nigdy świadomie nie zraniła niczych uczuć, co można by uznać za wprawdzie nieszczerzły, lecz rzadki i godny pozazdrosczenia talent.

– Więc Gilbert jednak się nie wycofał – zauważyła pani Harmonowa Andrews, nie omieszkając zabarwić tej uwagi nutą zaskoczenia. – No cóż, Blythe’owie zwykle dotrzymują danego słowa, bez względu na to, co się stanie. Zobaczmy... Masz już dwadzieścia pięć lat, czyż nie? Za moich czasów taki wiek uważano za pierwszy próg. Ale ty wyglądasz dość młodo. Rudowłosi już tacy są.

– Rude włosy są teraz bardzo modne – powiedziała chłodno Anne, zmuszając się do uśmiechu.

* Zob. Księga Psalmów 16,6 (wszystkie cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia).

Z biegiem lat rozwinęła znacznie swoje poczucie humoru, co pomogło jej przezwyciężyć wiele trudności, ale najwyraźniej nie obejmowało ono uwag na temat koloru włosów.

– No tak, tak – zgodziła się pani Harmonowa. – Człowiek nigdy nie wie, z jakimi dziwactwami mody przyjdzie mu się zetknąć. Cóż, Anne, całkiem ładne są te twoje rzeczy i bardzo pasują do twojej pozycji życiowej, prawda, Jane? Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa. W każdym razie życzę ci jak najlepiej. Długie narzeczeństwo nie zawsze kończy się dobrze, ale oczywiście w twoim przypadku nie można było temu zapobiec.

| 25

– Gilbert wygląda bardzo młodo jak na lekarza. Obawiam się, że ludzie nie zechcą mu zaufać – wieszczyła zło-wrogo pani Jasperowa Bell.

Potem zacisnęła usta na znak, że właśnie spełniła swój obowiązek i ma już czyste sumienie. Należała do kobiet, którym spod kapelusza z wyskubanym czarnym piórem zawsze wymykają się niesforne pukle.

Radość Anne z ładnej wyprawy została na krótko zma-rona, ale tylko w zewnętrznej warstwie; nic bowiem nie mogło naruszyć pokładów jej głębokiego szczęścia, a szpi-leczki pań Bell i Andrews szybko poszły w zapomnienie, kiedy później pojawił się Gilbert. Wyruszyli razem aż do brzoź nad strumykiem, które w chwili zamieszkania Anne w Zielonych Szczytach były jeszcze młodziutkami drzew-kami, teraz zaś rozrosły się w wysokie białe kolumny ba-śniowego pałacu zmierzchu i gwiazd. W ich cieniu Anne i Gilbert omawiali, jak wszyscy zakochani, swój przyszły dom i nowe, wspólne życie.

– Znalazłem gniazdko dla nas, Anne.

– Och, gdzież ono jest? Mam nadzieję, że nie w samej wiosce? To by mi raczej nie odpowiadało.

– Nie, w samej wiosce nie było nic do wynajęcia. To mały, biały domek nad zatoką, w połowie drogi między Glen St. Mary a przylądkiem Four Winds. Stoi nieco na uboczu, ale kiedy zainstalujemy telefon, nie będzie to miało większego znaczenia. Jest pięknie usytuowany; okna wychodzą na zachód i błękitne wody zatoki. W pobliżu są piaszczyste wydmy, owiewane morskimi wiatrami i zraszane wodnym pyłem.

26 |

– A sam dom, Gilbercie? Nasz pierwszy dom? Jaki on jest?

– Nieduży, ale dla nas wystarczy. Na dole ma wspaniałą bawialnię z kominkiem, jadalnię z oknami na zatokę i mały pokój, w którym chcę urządzić swój gabinet. To najstarszy budynek w Four Winds, zbudowano go około sześćdziesięciu lat temu, ale jest w niezłym stanie, a piętnaście lat temu przeszedł gruntowny remont: wymieniono mu gonty, tynki i podłogi. No i przede wszystkim wygląda na solidny. I podobno wiąże się z nim jakaś romantyczna historia, ale człowiek, od którego go wynająłem, jej nie zna. Podobno tylko kapitan Jim umie ją opowiedzieć.

– Kim jest kapitan Jim?

– Latarnikiem na przylądku Four Winds. Pokochasz tę latarnię, zobaczysz. Jest niesamowita, a o zmierzchu błyska jak najwspanialsza gwiazda. Będziemy ją widzieli z okien bawialni i przez frontowe drzwi.

– A kto jest właścicielem tego domu?

– Teraz jest to własność parafii prezbiteriańskiej z Glen St. Mary, a ja wynająłem go od jej zarządu. Ale przedtem

należał do pewnej wiekowej damy, panny Elizabeth Russell, która zmarła zeszłej wiosny, a ponieważ nie miała bliskich krewnych, zapisała dom Kościołowi. Nadal stoją tam jej meble, większość z nich kupiłem za grosze, bo są tak staroświeckie, że zarząd koniecznie chciał się ich pozbyć. Mieszkańcy Glen St. Mary gustują, jak sądzę, w luksusowych brokatakach i pretensjonalnych kredensach z lustrami, ale meble panny Russell są bardzo porządne i na pewno ci się spodobają.

– Jak na razie brzmi nieźle – ostrożnie zgodziła się Anne. – Ale nie samymi meblami żyje człowiek, a ty nie wspomniałeś jeszcze o najważniejszym. Czy przy domu są drzewa?

– Mnóstwo, moja driado! Za domem jest duży jodłowy zagajnik, przy ulicy rosną dwa rzędy włoskich topoli, a uroczy ogród otaczają pierścieniem brzozy. Frontowe drzwi wychodzą wprost na ogród, ale jest też inne wejście: mała furtka osadzona między dwiema jodłami. Zawiasy ma w jednym pniu, zasuwkę w drugim, a ich gałęzie tworzą nad nią łuk.

– Ach, jak się cieszę! Nie potrafiłabym żyć w miejscu, gdzie nie ma drzew, jakaś częśćka mnie umarłaby z głodu. W takim razie nie ma sensu pytać jeszcze o strumyk? To już byłby nadmiar szczęścia.

– Ależ jest i strumyk! Przecina róg ogrodu.

– A więc – rzekła Anne z westchnieniem największej satysfakcji – rzeczywiście jest to mój wymarzony dom i niczego więcej mi nie trzeba.